

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

ZBRODNIA KATYŃSKA W KRĘGU PRAWDY I KŁAMSTWA

pod redakcją Sławomira Kalbarczyka



WARSZAWA 2010

ANEKS

Relacje strażników pamięci o Zbrodni Katyńskiej

Zofia Błaszczyk

Córka porucznika Artura Spitzbartha, więźnia obozu w Starobielsku.

Michał Kurkiewicz: Pani Zofio, proszę nam opowiedzieć o sobie i o Pani ojcu, ofierze Zbrodni Katyńskiej.

Nazywam się Zofia Błaszczyk, z domu Spitzbarth, urodziłam się w 1936 r., więc kiedy wybuchła wojna miałam trzy i pół roku. Jestem na emeryturze, mam dwóch synów, miałam trzech, mam czworo wnucząt. Opiekuję się nimi, często się spotykamy.

Informacji o moim ojcu starałam się zdobyć jak najwięcej, bo strasznie za nim tęskniłam. Kiedy poszedł na wojnę, ja już nie miałam mamy, bo umarła przy moim urodzeniu. Oczywiście była rodzina, która się nami opiekowała, babunia, ciocie, wujkowie – więc nie byliśmy sami – nas czworo. Ale strasznie mi było brak tatusia. Ponieważ nie miałam mamy, to nie bardzo czułam jej brak, a tatusia – tak. I pamiętam, że zaraz na początku wojny, musiałam być bardzo mała, jak stanęłam pod rynną, kiedy padał deszcz, a rynna była u góry dziurawa, tak że nie ciekło tylko z dołu, ale i z góry. I myślałam wtedy: tatuś mój moknie na wojnie, to niech i ja pomoknę. To było takie moje cierpienie...

M.K.: Gdzie Pani mieszkała w 1939 roku?

Mieszkaliśmy w Warszawie przy ul. Narbutta, ale Niemcy nas wyrzucili, tak że w ciągu trzech dni trzeba się było przeprowadzić. Przenieśliśmy się do domu na ulicę Nowy Świat 30, tam było dawniejsze mieszkanie naszego dziadka, który już wówczas nie żył. A potem wracali niektórzy z wojny, z armii Andersa, inni... Ja tak zachodziłam nieznanym mężczyznom drogę, zaglądałam im w twarz, czy to aby nie mój tatuś... Bo tatuś był w Starobielsku, myśmy wiedzieli, bo przysłyły cztery listy i depesza oraz ostatnia depesza, która mówiła, że wyjechał, nie pozostawiając adresu. Ta ostatnia depesza nadeszła – dziś wiem – kiedy już było po likwidacji obozu. Więc wiadomo było, że wcześniej był w Starobielsku, wiadomo było o odkryciu grobów katyńskich, bo mieszkaliśmy w Warszawie i przecież nadawały szczełaczki... Może był w armii Andersa... Nie wiadomo.

M.K.: Kiedy Pani się dowiedziała czegoś więcej o losach ojca?

Czekaliśmy, ja się upewniłam, że tatuś jest na liście katyńskiej dopiero w 58 albo w 59 roku. Lista katyńska, londyńska¹ była oczywiście niedostępna wtedy w Polsce, ale w bibliotece wojskowej na Szucha pracował znajomy mojego męża i on mi powiedział, że tam jest ta lista. I przyniósł mi to, co napisał na karcie bibliotecznej – zachowałam sobie oczywiście tę kartę – na której stronie listy katyńskiej jest mój tata. To z relacji Ottona Bisanza, jednego z tych ocalonych, który zapamiętał bardzo wiele nazwisk. No i wtedy już wiedziałam, że na pewno... Ale jeszcze nie wiedzieliśmy, gdzie są pochowani, prawda? Otóż był ten raport Tartakowa, nie wiem, czy panowie o tym słyszeli? Bodaj w 1957 r. pismo „7 Tage” – niemiecki tygodnik zamieścił raport Tartakowa, szefa mińskiego oddziału NKWD, który składał meldunek do centrali w Moskwie o likwidacji trzech obozów i podawał miejsca likwidacji i miejsca pochowania². O tym raporcie dowiedziałam się bodaj z Radia Wolna Europa, albo sama usłyszałam, albo mi ktoś powtórzył. Jak chodzi o jeńców

¹ Adam Moszyński, *Lista Katyńska. Jeńcy obozów Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków zaginieli w Rosji Sowieckiej*, Londyn 1949.

² Raport Tartakowa okazał się fałszerstwem.

ze Starobielska, to podawał Dergacze, to jest bardzo blisko Piaticchatek, tego szóstego kwartału leśnego... Dlatego ja na tablicy na Powązkach, gdzie jest ściana poległych na wschodzie, umieściłam jako miejsce śmierci tatusia Dergacze. I potem jak byłam na grobie tatusia z pielgrzymką w Charkowie, to pytałam się miejscowych o Dergacze, to blisko, parę kilometrów... W tym raporcie Tartakowa było podane, że te trzy obozy zostały zlikwidowane, były nazwiska odpowiedzialnych osób i które pułki osłaniały rozstrzeliwania. No i najważniejsze, że wymienione były miejscowości, czyli Starobielsk i Dergacze. Po latach sprawą zajął się brytyjski historyk Louis FitzGibbon, który zaczął informować opinię Zachodu o Katyniu³. Na świecie Roosevelt blokował informacje – np. raport płk. Van Vlieta, który był w Katyniu w 1943 r., ale kiedy Roosevelt umarł, zastąpił go Truman i wybuchła wojna w Korei, to wtedy Amerykanie zaniepokoiili się, że to samo mogą zrobić z ich jeńcami w Korei, co zrobili z naszymi jeńcami. I wobec tego Izba Reprezentantów Kongresu USA powołała specjalną komisję, komisję Maddena, która badała to i opracowała raport. Wtedy zaczęły się sprawą Zbrodni Katyńskiej interesować różne instytucje, naukowe i społeczne, pojedynczy ludzie i powstała cała masa wspomnień, dokumentów i relacji. Jeśli chodzi o polską emigrację, to oni działali niestrudzenie, więc powstała książka *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* z przedmową Andersa, opublikowana w Londynie w 1949 r. Strasznie chciałam mieć tę książkę i raz – proszę sobie wyobrazić – już nie pamiętam, w którym to roku, idę sobie Starym Miastem z moimi dziećmi, patrzę, a ona leży na chodniku, bo ktoś sprzedawał, to znaczy jakoś odbitą drobnutko na powielaczu, czy inaczej, więc ją oczywiście kupiłam.

M.K.: A proszę powiedzieć, kiedy się Pani dowiedziała o działalności komisji Kongresu?

Na pewno nie na bieżąco, znacznie później, na pewno po 1990 r. Nie ma wątpliwości, że nie wcześniej, nawet tego pisma „7 Tage” nie miałam wtedy w ręku.

M.K.: A te publikacje, o których Pani mówiła, książka Swianiewicza...

Tę akurat dostałam dość szybko, czyli w 80 r., w czasach kiedy była „Solidarność”, tak samo *Bez ostatniego rozdziału* Andersa – to takie dwie książki, które wtedy otrzymałam.

M.K.: Proszę przedstawić nam sylwetkę taty.

Urodził się w 1891 roku, w rodzinie architekta warszawskiego, nazwisko Spitzbarth jest pochodzenia niemieckiego. Ta rodzina, a dokładnie mój pradziadek, przybył z Kurlandii, po drodze w Grodnie dziadek ożenił się z Aleksandrą Borkowską, jego brat z Marią Borkowską, jej siostrą, no i zamieszkali w Warszawie. (Mój dziadek, też Artur, był znanym architektem i na przełomie XIX i XX wieku zbudował wiele domów w Warszawie). Ich siostra wyszła za Polaka Henryka Rogowskiego. Wojenne losy mojej rodziny były tragiczne: dwaj wnukowie pradziadka – Alfred (27 lat) i Witold (22 lata) Lembke trafili w 1940 roku do Oświęcimia, a w styczniu 1941 rodzicom przysłano ich prochy, ich siostrę Alicję po powstaniu warszawskim wywieziono do Ravensbrück, gdzie podobno umarła na tyfus. Wnukowie pradziadka po drugiej córce: Lech i Mieczysław Rogowsky byli w AK, jeden zginął w Warszawie, w powstaniu, drugi – na Wileńszczyźnie...

Mój tatuś chodził w Warszawie do szkoły realnej Emila Konopczyńskiego, w 1911 r. ją skończył, zdał w korpusie kadetów w Moskwie egzamin – to był taki egzamin, który upoważniał do ominięcia służby wojskowej, żeby nie musiał służyć w wojsku rosyjskim, i pojechał na studia na Politechnikę Lwowską, potem sobie pojechał na studia do Zurychu, tam

³ L. FitzGibbon, *Katyn. A Crime Without Parallell*, London 1971.

przez rok uczęszczał na wykłady uniwersytetu, po roku zdał egzamin – to wszystko wiem z życiorysu, a właściwie dwóch ręką tatusia napisanych, które znalazłam w archiwum wojskowym w Rembertowie – i tam po tym zdaniu egzaminu na wydziale konstrukcyjnym budowy maszyn brał udział w oddziale „Strzelca” w Zurychu i w 1914 roku w lipcu przyjechał na szkołę letnią „Strzelca” do Krakowa i zaraz był sierpień, i 6 sierpnia wyruszył z 1. kadrową z Krakowa.

M.K.: Jakie były jego dalsze losy w czasie I wojny światowej?

Zachował się list, który tatuś napisał 20 sierpnia 1914 r. do mamy swojej, babuni, tu jest na kopercie, że ocenizowano: „Matus kochana. Piszę, nie wiedząc, kiedy ten list odejdzie, gdyż regularnej poczty nie ma, jestem zupełnie zdrow i wcale się nie męczę, choć mamy dużo trudów. Jestem obecnie znów w tym samym plutonie, co w Krakowie, tzn. 2. pluton 1. kompanii kadrowej 3. batalionu. Bardzo jestem z tego rad, gdyż przyjemni koledzy. Od ludności miejscowej mamy dobre przyjęcie. Nie chcą brać pieniędzy, boją się tylko powrotu moskali (napisał moskali małą literą, specjalnie). Nie wolno mi pisać, gdzie jesteśmy, w każdym razie już za Kielcami. Komendantem plutonu jest Krok-Paszkowski, bardzo sympatyczny oficer, deszczów nie mamy, dlatego marsze są przyjemne. Nigdy nie przypuszczałem, że z taką łatwością zahartuję się w trudach. Kończę, gdyż muszę iść na zbiórkę. Będę pisał często, ale listy mogą nie dochodzić. Całuję Cię Matus oraz Gieniusię. Twój Artur”. Więc był do końca w I brygadzie, był w artylerii, po kryzysie przysięgowym zbiegł, po prostu nie dał się zamknąć, nie poszedł do obozu, ale dostał potem formalną zgodę płk. Berbeckiego (to wszystko napisane jest w jego życiorysie, stąd wiem). I wstąpił na Politechnikę Warszawską, ale długo nie postudiował, bo zaraz był 1918 rok. Tatuś 10 listopada wziął udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie. 15 listopada wstąpił do formującego się w Rembertowie 8. pułku artylerii polowej, a dokładnie 22 stycznia 1919 r. – w rocznicę powstania styczniowego – wyruszył ze swoją baterią w pole, bo już bolszewicy napadali na nas, już to się zaczęło. Takie były dzieje wojenne. W 1921 r. tatuś przeszedł do rezerwy jako porucznik i pracował w różnych instytucjach, tak sobie zmieniał pracę; najpierw w fabryce parowozów, jakieś tam przyrządy miernicze, potem pracował w biurze konstrukcyjnym broni pancernej w Warszawie, a potem pracował w Rembertowie w Centrum Wyszkozenia Piechoty jako konstruktor. A tu, też przepisałam, opinia o tatusiu: „pracuje w Komisji Doświadczalnej Centrum Wyszkozenia Piechoty w Rembertowie jako konstruktor bardzo sumiennie z zamiłowaniem i dobrymi wynikami. Pewne rzeczy z dziedziny uzbrojenia wojska opracowane przez inż. Spitzbartha zostały przyjęte jako etatowe wyposażenie. Pracownik ideowy, pilny, pracowity, bardzo lojalny, skromny i zrównoważony, wybitne zalety moralne i charakteru, żołnierz I. kompanii kadrowej, oficer rezerwy, zawód inżynier, stanowisko konstruktor”. To opinia z 1933 r. Ojciec był inżynierem mechanikiem. Jak się wojna skończyła, to miał czas na edukację i w 1927 r. skończył Politechnikę Lwowską, ma bardzo ładny dyplom, co też jest w Rembertowie.

M.K.: Jak się ułożyło jego życie rodzinne?

Ożenił się, miał czworo dzieci... Najpierw ożenił się z Marią Rudzińską i przy urodzeniu najmłodszej córki mama jej umarła po trzech dniach. Tak że tatuś owdowiał w 34 roku. Potem się ożenił ze swoją kuzynką, czyli moją mamą i moja mama Helena Borkowska (a mama mojego tatusia też Borkowska – byli kuzynami...) też umarła, przy moim urodzeniu.

M.K.: Dochodzimy tak do 39 roku, mieszkają Państwo w Warszawie, Pani tata idzie na wojnę i co się z nim dzieje?

Ostatni list z Polski przychodzi z Łukowa, bo jedzie do Brześcia.

M.K.: Co napisał? I czy został zmobilizowany z przydziałem do Brześcia, czy też zgłosił się na ochotnika?

Mój ojciec, porucznik Spitzbarth, pisze w tej kartce z Łukowa – gdzie czekał na pociąg do Brześcia – „czeka tu ze mną sporo rezerwistów”. To tak, jakby wiadome było, że mają jechać tam. Potem znowu nie wiem, kiedy i gdzie dostał się do niewoli. Brześć został zdobyty 17 września przez Niemców. Potem walczył jeszcze Fort Sikorskiego. Niemcy wydali Sowiecom część załogi twierdzy, część wcześniej ewakuowali. Wydaje mi się, że z Brześcia część żołnierzy wyszła wcześniej. Chyba cztery rzuty wyszły z Brześcia i kierowały się na pomoc do Lwowa, bo postanowiono, że trzeba bronić Lwowa, i to jeszcze przed 17 września. Także tatuś mógł być w jednej z tych grup, nie wiem... Tak więc nie wiem, kiedy i gdzie tatuś się dostał do niewoli.

M.K.: Czyli Pani tatuś jest w niewoli. I co potem, jaki był pierwszy sygnał od niego?

To była kartka z 30 listopada 1939, kiedy pozwolono już na korespondencję. I oczywiście pisze, że jest zdrow, czuje się dobrze, że o nas się martwi. To były krótkie karteczki, pierwsza po polsku, potem już musiał pisać po rosyjsku, żeby nie mieli problemu z czytaniem. Takie były 4 kartki: potem z 24 grudnia, z 31 grudnia i z 6 stycznia, i na tym koniec; jeszcze przedtem depeza (od niego), że jest w Starobielsku, bo chyba najpierw mogli depeze wysyłać...

A myśmy wtedy jeszcze mieszkali na Narbutta, mój starszy brat pamięta taką rzecz: przyszedł żołnierz – jeden z tych zwolnionych ze Starobielska szeregowców, bo w listopadzie zwolniono szeregowców, tzw. warszawiaków, a tatuś mu podał adres i dał mu swój sweter, ja nie wiem, czy miał dwa swetry, czy jeden, ale że ten człowiek szedł w mróz, to mu oddał. No i ten żołnierz powiedział, że „tatuś dostał kapitana” – tak się wyraził, czyli awansował we wrześniu 39. Ja czytałam gdzieś, że awanse były nadawane 11 września drogą radiową. Tak że, jak oni byli tam w Brześciu, to mój tatuś został kapitanem.

M.K.: Czy Pani rodzina odpisywała?

Tak, tak, chociaż tatuś dostawał je z opóźnieniem, dopiero w trzecim liście pisze, że dostał od nas wiadomość i się ogromnie ucieszył...

M.K.: A kiedy korespondencja się urwała?

6 stycznia 40 r. napisał, a potem już listów nie było, a tatuś był wywieziony 17 kwietnia – tak według relacji Ottona Bisanza, wszystko ściśle, a potem przyszła depeza z 6 czerwca ze Starobielska na nasze zapytania: adresat wyjechał nie pozostawiając adresu. To była depeza od władz obozowych napisana po niemiecku. Mam te listy schowane... Oni tak odpowiadali – niekoniecznie tymi samymi słowy, ale o tatusiu tak. To był 7 czerwca, już po wszystkim.

To piękna historia o tym swetrze, że tatuś oddał, bo tam było zimno w tym Starobielsku. Ja wiem o tym, jak tam było, z wydanej w Londynie w 1971 r. książki *W niewoli sowieckiej*, Bronisława Młynarskiego, który był tam też i ocalał – to przyjaciel Czapskiego i o tę książkę też było strasznie trudno. Nagle się dowiedziałam, że jedna pani zrobiła ksero, odbitki w Krakowie, ja ją poprosiłam i sama zrobiłam potem tych odbitek dużo, porozdawałam rodzinie, znajomym, jak ten Młynarski to opisuje, jacy ci Polacy byli fantastyczni...

M.K.: A kiedy miała Pani do czynienia z książką Bronisława Młynarskiego?

Oj, późno, dopiero w 2000 r. Nie wiedziałam o tej książce. Nieraz prosiłam ludzi wyjeżdżających za granicę, żeby mi coś przywieźli. Oczywiście miałam Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi* i *Wspomnienia starobielskie* takimi malutkimi litereczkami, ale Czapski to tak pisał poetycko, a Młynarski konkretnie...

M.K.: Mamy rok 1940, ostatni sygnał, potem długo nic, aż wreszcie przychodzi rok 1943, Niemcy ogłaszają Katyń w gadzinówkach. Czy Pani to pamięta?

Tak, bo mieszałam w Warszawie, szczekaczki były na ulicach i myśmy to słyszeli. Jak „Nowego Kuriera Warszawskiego” normalnie nikt nie kupował, to wtedy wszyscy kupowaliśmy i czytaliśmy... Czytaliśmy te wszystkie nazwiska.

M.K.: Ale to była lista katyńska...

Tak, mój tata nie mógł na niej być, bo to byli jeńcy z Kozielska, myśmy wiedzieli, że tatuś był w Starobielsku.

M.K.: Mieli Państwo jakieś nadzieje, że mimo odkrycia Katynia wróci?

No, ja miałam tę nadzieję. Jak mówiłam, zaglądałam w 45 r. tym ludziom, którzy wracali, w twarze i tak sobie myślałam, że może tatuś wróci... Można było przypuszczać, że dostał się do armii Andersa, Anders przecież szukał, wiadomo, że Stalin mówił, że uciekli do Mandżurii, wykręty były, ale potem już... Właściwie 57 rok dopiero wyjaśnił – ten raport Tartakowa był takim przełomem...

M.K.: Ale dowiedziała się Pani o nim w 57 r. czy później?

Nie, ja później, ale już zagranicą wtedy się dowiedziała.

M.K.: A proszę jeszcze powiedzieć, czy jakieś działania podejmowała Pani rodzina? Może przez Czerwony Krzyż?

No tak, przecież mamy jeszcze depesz z Czerwonego Krzyża. To wtedy, kiedy jeszcze nie było wiadomości o Starobielsku. I przyszły chyba jeszcze 4 depesze z Radomia z Czerwonego Krzyża, że kapitan Spitzbarth jest jeńcem, a później chyba już nie.

M.K.: Kiedy dokładnie te depesze przychodziły?

W 39 r., w listopadzie i grudniu. Bo się okazuje, że panie z Czerwonego Krzyża z Radomia przychodziły na stację, gdzie ci szeregowi zwalniani z Rosji przyjeżdżali i spacerowali na stacji po peronie, i mogli nawet rozmawiać. I te panie z Czerwonego Krzyża przynosiły im pieniądze, jakieś jedzenie i rozmawiały z nimi, a jak dostawały informacje, to od razu zawiadamiały. Pierwsza depesza z Radomia była z 7 listopada 1939 r.

M.K.: Czyli była też informacja, że tata jest w Starobielsku?

Tak, że jest w Starobielsku i że jest kapitanem. Ale później, po wojnie to ja nie wiem, czy ktoś szukał, bo myśmy nie mieli rodziców... I ta bliższa rodzina, która się nami zajmowała, już wymarła.

M.K.: Jak się potoczyły Pani losy po wojnie?

Po wojnie mieszałam w szkole średniej w internacie, w Warszawie, dostawałam stypendium jako sierota, potem chciałam zdać na studia. Wtedy nie miałam kontaktu z osobami,

które straciły ojców w taki sposób jak ja, nie wiedziałam, że mieli trudności z zapisaniem się na studia, ale jakoś tak instynktownie, podając pochodzenie społeczne, czyli zawód ojca, opuściłam słowo „inżynier” i napisałam „mechanik”. I wyszło na to, że ja jestem z robotniczej rodziny. I zostałam przyjęta na studia. Poszłam na studia dziennikarskie. Ponieważ rodziny nie miałam, wyobrażałam sobie, że ja coś zrobię, jak będę dziennikarką, ale kiedy już te studia skończyłam, prędko się zorientowałam, że nie. Pierwszy rok bez przydziału pracy, potem dostałam się do Polskiej Agencji Prasowej, podjęłam pracę w korekcie. Mogłam brać popołudniowe i nocne dyżury. Tak pracując, mogłam zajmować się dziećmi, bo z kolei jak mąż wracał z pracy, to on się dziećmi opiekował.

**M.K.: Jako pełna sierota dostawała Pani stypendium, to jak przy tej okazji rozwiąza-
no kwestię śmierci Pani ojca, co Pani podała. Jaka datę śmierci, gdzie?**

Wszyscy dostaliśmy zaświadczenia – bo potem już się dowiedziałam od znajomych – o uznaniu za zmarłego. Data była 9 maja 1946 r., czyli dokładnie rok po zakończeniu wojny, po prostu tak było. Władze, myślę, chciały mieć to z głowy.

**Konrad Starczewski: Czy to był jedyny moment, w którym musiała Pani o ojcu mówić
oficjalnie?**

Mnie się nikt nie pytał, ja nie musiałam nic oficjalnie mówić. Tatuś poszedł na wojnę i nikt nie pytał, a jak nie pytał, to nie mówiłam, tak samo jak nie wiem, dlaczego opuściłam słowo „inżynier”. Widocznie czułam w maturalnej klasie, że lepiej nie być inteligentem... Nie było tak, że ja nie miałabym odwagi powiedzieć, że tatuś był w Starobielsku. Bo na pewno bym powiedziała. Ale czułam, że nie z każdym mogę mówić o takiej mojej serdecznej sprawie.

**K.S.: Przychodzi rok 56, zmienia się władza, czy spodziewała się Pani, że jak Gomuł-
ka nastał, to może zostanie przed społeczeństwem odsłonięta ta tajemnica katyńska?**

Tak, ale krótko tak myślałam, dlatego że przecież prymas Wyszyński miał duże problemy z Gomułką i już było wiadomo, że to nie jest to. To szybko się wyjaśniło.

**M.K.: A czy w czasach PRL rozmawiała Pani o Zbrodni Katyńskiej z rodziną, z przy-
jaciółmi?**

Wie pan co, ja taka byłam, że nie rzucałam pereł przed wieprze, krótko mówiąc. Uważałam, że to jest moje i tak wielkie, że nie mówiłam o tym z każdym. Dopiero później, dokładnie w grudniu 88 r. ksiądz Majorowicz w Koninie stworzył Rodzinę Katyńską. Myśmy się dowiedzieli i z jednym z moich synów pojechałam do Konina, tam żeśmy się zapisali. Ksiądz robił wystawę i tam poznałam ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłam i do tej pory korespondujemy, dopiero wtedy naprawdę dużo rozmawiałam – w tym Koninie. Tak samo, kiedy zamawiałam tablicę na ścianie poległych na Wschodzie na Powązkach, to też poznałam ludzi, których spotkał ten sam los. I też z nimi do tej pory się kontaktuję.

K.S.: A pamięć o tacie i jego historii przekazywała Pani...

No naturalnie, przede wszystkim rodzeństwu, dokumenty z Rembertowa odbijałam i dawałam wszystkim. A synowie, obaj muzycy, noszą życiorys mego tatusia w teczkach z nutami.

M.K.: Czy Pani lub komuś w rodzinie się zdarzyło, że ktoś był szykanowany, że rodzina była szykanowana ze względu na śmierć kogoś w Katyniu?

Później już poznałam kilka osób, które przez wiele lat nie dostawały się na studia, bo w życiorysach podawały, gdzie tatuś zginął. I dopiero to się skończyło, jak ktoś w sekretariacie uczelni powiedział: „Niech pani tego nie pisze”. Znam takie przypadki.

M.K.: Czyli usystematyzujemy: Pani rodzina niemal od razu dowiedziała się, że Pani tata jest w Starobielsku – z tych pocztówek od niego, potem – tak jak wszyscy warszawiaczy – dowiedzieli się Państwo od Niemców o Zbrodni Katyńskiej w 1943 r. A kiedy o tym, że tatę zamordowano?

To było w 58 lub 59 r., z tej londyńskiej listy katyńskiej, ona się nazywała katyńska, ale dotyczyła trzech obozów. Opracował ją Adam Moszyński. Ci, którzy ocalili, dawali relacje, akurat Otto Bisanz zapamiętał mojego tatusia... I właśnie ten kolega pracował w bibliotece, zapytałam go o listę i przyniósł mi informację.

M.K.: A czego jeszcze dowiedziała się Pani w końcu lat 80. i na początku 90.?

Wtedy już „Energopol” dotarł do tych Piatichatek, były w piśmie „Zorza” różne informacje, ich autorzy przypuszczali, że jeńcy polscy spoczywają bardzo blisko obozu starobielskiego, w dołach, piaskach... Z różnych informacji prasowych wiem, że w latach 70. na teren cmentarza w Piatichatkach przywożono na samochodach maszyny nazywane *miasorubki* i one wszystko miały, żeby przyspieszyć rozpad ciał... Wtedy chyba już tak nie pilnowali i ludzie zaczęli płądrować te miejsca. I jakaś gazeta napisała, że padały wielkie deszcze, że warstwy ziemi się wypłukały i wyszły na wierzch guziki. Ale tego to myśmy w latach 70. nie wiedzieli. Potem, w latach 90. były prace ekshumacyjne i mam taki oficjalny komunikat, że wszyscy byli zabijani w siedzibie NKWD w Charkowie, ale to nieprawda, bo przecież przy ekshumacji znaleziono bardzo wiele łusek naboju, więc tam na miejscu też byli rozstrzeliwani.

M.K.: A co mówi ten oficjalny komunikat?

To pismo Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Piszą tak: w Charkowie dokonano mordów w siedzibie obwodowego NKWD, w piwnicach więzienia wewnętrznego, zwłoki przewożono pod osłoną nocy na znajdujący się pod kontrolą NKWD teren 6. kwartału w Piatichatkach do zrobionych tam dołów.

Nagranie: Michał Kurkiewicz, Konrad Starczewski; opracowanie: Michał Kurkiewicz